

Bombą w komune

Czynny opór przeciw władzy

Elektryk atakuje dwa razy

Już pierwszy wybuch, na trasie przejazdu Chruszczowa, zszokował władze. A co dopiero powtórka dwa lata później. →4-5

Siostra Bieruła u „bandytów”

Krewni przywódcy komunistów wpadli w ręce Żołnierzy Wyklętych. Potraktowano ich znacznie lepiej, niż się spodziewali... →6

Odwet na reżimie

Po Zbrodni Lubińskiej Zagłębie Miedziowe stało się areną zacieklej wojny podziemia z aparatem bezpieczeństwa. →12-13

Rozmowa | prof. Jerzy Eisler, historyk

Nóż się w kieszeni otwierał

Ja mogę dziś mówić, że robienie krzywdy ludziom jest złe. Ale sam pamiętam, jak w latach 80., gdy człowiek widział, jak kopią leżącą dziewczynę, tłuką ją pałami, to emocje kipiały.

Jak z punktu widzenia moralności ocenia pan czynny opór przeciw władzy w PRL?

PROF. JERZY EISLER: Po doświadczeniach związanych z Solidarnością, zwłaszcza po tym, jak „S” została odebrana na arenie międzynarodowej; po zmianach ustrojowych z końca lat 80., a do tego patrząc przez pryzmat współczesnych zamachów terrorystycznych, w Polsce trudno jest pozytywnie mówić o radykalnych działaniach natury politycznej. Wydaje się, że zasada non violence (bez przemocy) zdobyła w naszej świadomości pozycję dominującą. Jednocześnie trzeba podkreślić, że w PRL radykalnych działań, takich jak zamachy, podejmowanych z pobudek niepodległościowych, było niewiele. To nie był główny nurt. Oczywiście nie mówię o okresie bezpośrednio powojennym: do 1947–1948 r.

Niektórzy historycy czynny opór w tamtym czasie sprowadzają do wojny domowej.

Jeśli chodzi o żołnierzy podziemia niepodległościowego, prowadzili oni opór, który miał powstrzymać „nowe”. Nawet jeżeli zdawali sobie sprawę, że to nie może się udać, to robili co mogli, by przeciwstawić się komunistycznej władzy. Później, po całkowitym przejściu przez komunistów kontroli nad państwem i w masowym stopniu nad społeczeństwem – co trwało do połowy lat 50. – były oczywiście niewielkie grupy, które wciąż „knuli” przeciwko władzy, stosując czynny opór. Ale to już była inna rzeczywistość.

Dziś raczej nie pamięta się o zamachach na Bieruta czy – opisywanych w tym dodatku – na Chruszczowa i Gomułkę.

Nic dziwnego, skoro owe zamachy były przez cenzurę całkowicie wyругane. One krążyły w sferze opowieści, które



Prof. Jerzy Eisler

zwykle poprzedzano słówkiem „podobno”. Tak też było z historią braci Kowalczyków, którzy w 1971 r. wysadzili aulę Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu. Miała się w niej odbyć akademii z okazji święta Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa. Bombę Kowalczykowie podłożyli w nocy, gdy nikogo w auli nie było. Mamy tu odwrotność terroryzmu współczesnego, gdzie celem jest jak największa liczba ofiar.

Ponadto, z moralnego punktu widzenia, czym innym jest wysadzenie pustej auli, a czym innym planowanie zamachu na człowieka. Nawet jeżeli był nim Bierut, Gomułka czy Chruszczow.

Czynny opór w PRL powinniśmy nazywać terrorem?

To nie takie proste. Ci, którzy potrafią jednoznacznie to ocenić –

w czarno-białych barwach – powinni o tym porozmawiać z mądrym duchownym, księdzem. Wchodzimy tu bowiem w sferę ludzkiego sumienia. Są na przykład ludzie, którzy lubią w takich przypadkach kibicować innym.

W jakim sensie?

A w takim, że mówią: „Panie, jak ja bym chciał, by wysadzili Pałac Kultury”. Ale dlaczego sami tego nie zrobią? Są to wypowiedzi pozbawione sensu, odpowiedzialności i refleksji. Przyjemnie siedzi się w fotelu, popijając kawę czy herbatę, i mówi: „Jak ja bym zrobił zamach na Chruszczowa, to Pan Bóg by mu nie pomógł”. Po pierwsze, jest to zachowanie skrajnie kabotyńskie, głupie i nieskromne, a po drugie – jeżeli taka osoba nie podjęła próby życia w konspiracji – oderwane od rzeczywistości. Konspiratorzy znajdowali się bowiem w sytuacji zwierzęcia podczas polowania.

Czy w kategoriach moralnych zamach przeprowadzony w czasach stalinizmu ma inną wagę niż zamachy w innych okresach PRL?

Ja patrzę na to w kategoriach w ogóle odrzucających zabijanie. Planując zamach, zakłada się możliwość zabicia człowieka. Z premedytacją. Trzeba pamiętać o etyce, niezależnie od tego, czy nazwiemy ją humanistyczną czy chrześcijańską. Niemniej jednak problem czynnego oporu jest bardzo złożony. Możemy chociażby zapytać – co z Armią Krajową?

To znaczy?

Nasuwa się pytanie, czy niektóre działania AK również były aktem terroryzmu czy nie. Moim zdaniem nie. Przypomnę Jana Krysta, żołnierza AK, śmiertelnie chorego na gruźlicę, któremu lekarze dawali kilka miesięcy życia. Kryst, poświęcając się dla ojczyzny, wszedł do lokalu

przeznaczonego tylko dla Niemców, by zastrzelić oficerów gestapo. Liczył się z tym, że sam zginie. To jest jednak inna sytuacja niż wysadzenie mostu czy podłożenie bomby pod komunistyczną instytucję. AK to była armia; jej żołnierze przygotowywali konkretne akcje wojskowe. Uczestnicy akcji na Franza Kutscherę dostawali szau, gdy słyszeli wyrażenie: „Zamach na Kutscherę”. To nie był zamach, tylko akcja zbrojna.

Ktoś powie: jaka to różnica?

Zamach ma podtekst terrorystyczny, sięgający czasów anarchistów, XIX-wiecznych terrorystów, którzy strzelali do królów, prezydentów. Natomiast akcja zbrojna wiąże się z działalnością wojskową, militarną, jej celem jest konkretny zbrodniarz. No dobrze, ale ktoś może zapytać, co w sytuacji, w której celem był np. Bierut? To jest bardzo delikatna sprawa, która również sprowadza się do wymiaru akcji, do tego, czy za wszelką cenę uniknięto ofiar i rannych wśród ludzi przypadkowych, czy zrobiono jatkę, np. podkładając bombę w restauracji czy teatrze.

Przejdźmy do lat 80.

Solidarność w ogóle tego nurtu nie podjęła. Wystarczy przypomnieć, że w czasie demonstracji skandowano: „de-mon-stracja po-ko-jowa!”. A gdy pojawiały się formacje milicyjne, niekiedy nawet próbowano podejmować dialog z funkcjonariuszami milicji czy ZOMO.

Z jakim skutkiem?

Różnym, choć zwykle kończyło się to biciem, polewaniem wodą i granatami łzawiącymi.

A co z Solidarnością Walczącą? Jej czołowy działacz z Trójmiasta Roman Zwiercan podłożył bombę pod gmach

Komitetu Miejskiego PZPR w Gdyni.

Solidarność Walcząca była bardziej radykalna. Ale z reguły nie organizowała akcji o bardzo gwałtownym charakterze, ataków na instytucje itp. Dla mnie być może największą zagadką w ponad 1000-letniej historii Polski jest to, jak było to możliwe, że w państwie, społeczeństwie o takiej tradycji konspiracyjnej, podziemnej, sięgającej okresu zaborów – jeśli nie wcześniejszego – przyjęło powszechnie zasadę działania politycznego bez przemocy.

Jak to można tłumaczyć?

Nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Na pewno był strach społeczeństwa przed represjami, ale też strach władzy przed wybuchem wojny domowej – jeżeli rzeczywistość byłaby ona domowa – w której władza komunistyczna byłaby skazana na porażkę. Wpływ na pokojową postawę miało także nauczanie Jana Pawła II i Kościoła katolickiego, ale też wiele innych czynników, takich jak pragmatyzm biorący się z przekonania, że strzelanie, podkładanie bomb się nie opłaca, bo stracimy na świecie poparcie i sympatie; że za granicą mogliby zacząć nas traktować z mieszanymi uczuciami, takimi, z jakimi my patrzyliśmy chociażby na IRA (tajna Irlandzka Armia Republikańska, odpowiedzialna za liczne zamachy - red.). Dlatego uważam, że polska opozycja z czasów PRL zdała egzamin – niemal nie stosowała metod terrorystycznych.

Chciałbym jednak poruszyć jeszcze jeden wątek. Chodzi o emocje. Ja mogę dziś mówić, że robienie ludziom krzywdy, zabijanie jest złe. Że jest naganne z punktu widzenia chrześcijaństwa. Ale sam pamiętam, jak w latach 80., widząc nieograniczone chamstwo, słysząc bezczelne kłamstwa, np. gdy wielotysięczne demonstracje nazywano drobnymi incydentami, wywołanymi przez małe grupy rozwydrzonych chuliganów, to „nóż mi się w kieszeni otwierał”, chociaż naturalnie tam go nie miałem. Tak samo, gdy człowiek widział, jak kopia leżąca dziewczynę, tłuką ją pałami. Emocje wtedy kipiały. Nie jest to usprawiedliwienie dla planowania zamachów, podkładania bomb itd., ale jeżeli chcemy zrozumieć, co pchało ludzi do takich czynów, nie możemy o tym zapominać. ☹

—rozmawiał Łukasz Lubański

Prof. Jerzy Eisler jest dyrektorem warszawskiego oddziału IPN i kierownikiem Zakładu Badań nad Dziejami Polski po 1945 roku IH PAN

Odpowiadanie przemocą na przemoc władzy nie znajdowało w PRL zrozumienia

Opór wbrew wszystkiemu

JAROSŁAW SZAREK

W ostatnich dwóch stuleciach, walcząc o niepodległość, nieraz odpowiadaliśmy przemocą na przemoc. Zamachy bombowe oraz likwidacja przedstawicieli zaborczej, okupacyjnej władzy, konfidentów miały miejsce już w czasie poprzedzającym wybuch powstania styczniowego, sięgnęła po nie także Organizacja Bojowa Polskiej Partii Socjalistycznej na początku wieku XX czy żołnierze konspiracji w czasie II wojny światowej i podziemia antykomunistycznego po jej zakończeniu. Przemoc była wymierzona w przeciwnika mającego niezwykle rozbudowany aparat przemocy w postaci Ochrony, NKWD, UB, gestapo... Działania te miały akceptację tej części społeczeństwa, która nie pogodziła się z niewolą i traktowała je jako jedną z form walki o niepodległość.

W PRL odwoływanie się wprost do tradycji zbrojnego podziemia niepodległościowego pozostawało niezrozumiałe i nie miało akceptacji milczącej większości, a żołnierzy zastąpiła wielkoprzemysłowa klasa robotnicza. Jej bronią stały się strajki i manifestacje uliczne. Niespodziewanie zwycięstwem zakończyły się protesty latem 1980 r., a powstała wtedy Solidarność była ruchem, który negował przemoc zbrojną, gdyż nie ona doprowadziła do jej triumfu. Nawet po wprowadzeniu stanu wojennego – zbrojnego ataku na związki – tylko nieliczni sięgnęli po takie formy walki. Pokojowa Nagroda Nobla



JAROSŁAW SZAREK
prezes IPN

dla przywódcy Solidarności i ewangeliczne przesłanie ks. Jerzego Popiełuszki „zło dobrem zwyciężaj” zobowiązywały do porzucenia przemocy.

W 1947 r. Józef Mackiewicz pisał: „Społeczeństwo, które strzela, nigdy się nie da zboljšewizować...”. Z czasem strzałów było coraz mniej. Skala represji i ich okrucieństwo były tak ogromne, a jednocześnie dysproporcja sił tak wielka – w Polsce stacjonowało m.in. kilkadziesiąt tysięcy so-

wieckich żołnierzy – że szansa na zwycięstwo przestała istnieć. Represje, jakie spadły na żołnierzy antykomunistycznego powstania, spowodowały, że zabrakło gotowych iść ich drogą. Bezsensowność zbrojnej walki podtrzymywały państwa zachodnie, które uznały jałtański dyktat nie tylko za trwały, ale i nienaruszalny.

Ludzie, którzy mimo to postanowili sięgnąć po takie metody, byli skazywani na kary śmierci lub długoletnie więzienie, a potem na zapomnienie. Podpalanie siedzib partyjnych, wysadzanie pomieszczeń i pomników Lenina czy Dzierżyńskiego miały pokazać, że opór istnieje. W zniewolonym narodzie budziły nadzieję, że nie wszystko stracone, przypominały światu o niewoli, wskazywały, kto jest wrogiem narodu. Skutki nie zawsze dawały o sobie znać od razu, ale trwały gdzieś w świadomości społecznej, szczególnie tej lokalnej, gdzie wiedziano o danym czynie. Właśnie o tych nielicznych przeczytacie Państwo w dodatku przygotowanym przez Instytut Pamięci Narodowej. ☹

Dodatek przygotowany wraz z oddziałami IPN w Poznaniu i Szczecinie

Sebastian Ligarski – koncepcja merytoryczna
Jakub Cegiela – redaktor prowadzący
Anna Wdowińska – fotoedycja
Michał Nawrocki – redaktor graficzny

Zamachy na Nikitę Chruszczowa i Władysława Gomułkę, 15 lipca 1959 r. i 3 grudnia 1961 r.

Elektryk amator atakuje dwa razy

Odpalając ładunki wybuchowe na trasie przejazdu komunistycznych przywódców, Stanisław Jaros chciał pokazać światu, że „istnieje w Polsce podziemie, siła dążąca do zmiany ustroju”.

ADAM DZIUBA

Obchodzona 22 lipca komunistyczna uroczystość Narodowego Święta Odrodzenia Polski w 1959 r. uzyskała szczególny wymiar. Na jej obchody przybył do Polski Nikita Chruszczow – I sekretarz Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego. Wizyta przywódcy ZSRS według przekazu propagandowego wypadła znakomicie. Dziennikarze widzieli tylko rozradowane tłumy – żaden z nich nawet się nie zająknął, że w Zagłębiu Dąbrowskim nieznany sprawca zdetonował bombę na trasie przejazdu komunistycznych dygnitarzy. Historia powtórzyła się dwa lata później – tym razem obiektem ataku stał się I sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Władysław Gomułka.

Bezpieczna „Przyjaźń”

Plan wizyty Chruszczowa obejmował m.in. zwiedzanie Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego, dokąd sowiecki przywódca miał się udać w towarzystwie Gomułki i I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach Edwarda Gierka. Zakładano, że 15 lipca Chruszczow otwartą limuzyną uda się z Katowic na przejażdżkę, 120-kilometrowa trasa obejmowała Świętochłowice, Rudę Śląską i Zabrze, Bytom, a następnie Sosnowiec i Dąbrowę Górniczą. Prasa przedstawiła marszrutę w przeddzień wizyty, choć miejscowi poznali ją dużo wcześniej, obserwując gorączkowe zabiegi służb komunalnych.

Choć w 1959 r. aparat bezpieczeństwa uważał sytuację w województwie za spokojną, nie można było zaniechać środków ostrożności, tym bardziej że Chruszczow miał się bratać z ludźmi witającymi go po drodze chlebem i solą.



Objazd Nikity Chruszczowa (z lewej) i Władysława Gomułki (z prawej) w 1959 r. miał być triumfalny. Tym bardziej bolesny dla władz okazał się zamach dokonany przez Stanisława Jarosa

Przygotowywana od 2 czerwca 1959 r. akcja zabezpieczenia wizyty otrzymała kryptonim „Przyjaźń”. Zwrócono zwłaszcza uwagę na potencjalne zagrożenie ze strony ludzi znanych z niepoehlebnych wypowiedzi pod adresem ZSRS czy karanych w przeszłości za związki z podziemiem – objęto ich okresową kontrolą. Większość posiadaczy broni myśliwskiej musiała na czas wizyty zdeponować swe sztucery w komisariatach MO. By powitalnych okrzyków nie zakłóciły „antyradzieckie ekscesy”, do tłumów obserwujących przejazd limuzyn, obok umundurowanych funkcjonariuszy MO i Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej (średnio jeden na ok. 60 m trasy), skierowano także pracowników SB w cywilnych ubraniach oraz konfidentów. Punkty, w

których kolumna pojazdów była szczególnie narażona na atak (np. mosty), zostały skontrolowane przez saperów, a później były stale patrolowane przez funkcjonariuszy SB.

Tam, gdzie wychowywał się towarzyszy Gierek

Mimo wszystko nie udało się zapobiec incydentowi. Na trasie przejazdu Chruszczowa, w miejscowości Zagórze (obecnie dzielnica Sosnowca), w koronie przydrożnego drzewa eksplodowała bomba. Detonacja nastąpiła 15 lipca o 14.30, godzinę przed planowanym, a trzy godziny przed rzeczywistym przejazdem samochodów z Chruszczowem i towarzyszącymi mu dostojnikami. Siła wybuchu pochyliła i

nałamała drzewo, w sąsiednich domach wypadło kilka szyb, a odłamki wbiły się w okoliczne budynki. Jeden z odłamków lekko zranił w nogę stojącego na ulicy porządkowego. Władze centralne i wojewódzkie były zaszokowane. Wybuch musiał szczególnie mocno wstrząsnąć Gierkiem, bo nie dość, że do eksplozji doszło w województwie, którego był „gospodarzem”, to jeszcze stało się to w miejscowości, w której mieszkala jego matka i w której sam się wychowywał.

Funkcjonariusze SB niezwłocznie przystąpili do czynności dochodzeniowo-śledczych, nadając sprawie kryptonim „Ukryty” i obejmując jednocześnie incydent całkowitą blokadą informacyjną. Żadna wzmianka o eksplozji nie przedostała się do mediów, choć na terenie

Zagłębia Dąbrowskiego huczało od plotek o zamachu.

W miejscu eksplozji znaleziono odłamki żeliwne i stalowe oraz odcinki przewodów elektrycznych, z których jeden połączony był z przebiegającą niedaleko linią niskiego napięcia, wykorzystywaną przez miejscowy radiowęzeł. Odnaleziono również fragment zegarka ręcznego, a w pobliskim ogródku działkowym dostrzeżono ślady obuwi. Psy tropiące doprowadziły funkcjonariuszy do Domu Górnika w Dąbrowie Górniczej i do posesji jednego z mieszkańców Zagórza Stanisława Rokickiego, który został aresztowany wraz z córką i zięciem. Przesłuchania świadków i osób mieszkających przy trasie przejazdu przyniosły ponadto zeznania na temat czynów robotników mocujących kable w przeddzień eksplozji oraz siedmiu górników malujących w tym samym czasie parkan. Wszystkich zatrzymano i przesłuchano.

W martwym punkcie

12-osobowa grupa funkcjonariuszy zaczęła gromadzić dowody przeciwko Rokickiemu i jego krewnym, podjęła też zmusną inwigilację wszystkich lokatorów Domu Górnika. Przesłuchano lokalnych zegarmistrzów, ale żaden z nich nie pamiętał, by okazywany mu fragment zegarka kiedyś znalazł się w jego rękach. Sprawdzone tropy związane z radiowęzelem (zakładano, że można było stamtąd zdalnie zainicjować wybuch), zatrzymano ludzi malujących parkan i kilku górników wynoszących kable lub materiały wybuchowe z kopalni oraz uczestników libacji w ogródku działkowym. W kręgu podejrzeń znalazła się nawet grupa chłopców, która odpaliła petardę.

Zmusnie analizowano materiały operacyjne na temat ludzi zaangażowanych w przeszłości w działania podziemia niepodległościowego, negatywnie wypowiadających się o Związku Radzieckim i ustroju w Polsce oraz dywagujących na temat domniemanych sprawców wybuchu. Sprawdzone też alibi zwolnionych z więzień miejscowych kryminalistów.

Zwerbowano nowych informatorów, zainstalowano podsłuchy, przeglądano korespondencję. Do aresztów na dłużej trafiło dziewięć osób, kolejnych 23 zatrzymano na 48 godzin. SB objęła szczegółową inwigilację 406 mieszkańców Zagórza i okolic, a wstępnie sprawdziła 6380 dalszych. Funkcjonariusze nie znaleźli jednak żadnego pewnego śladu wiodącego do zamachowca. Musieli nawet wypuścić z aresztu Rokickiego, jego córkę i zięcia, bo ich alibi było niepodważalne.

Śledztwo znalazło się w martwym punkcie. Za brak postępów konsekwencje służbowe ponieśli dwaj zastępcy komendanta wojewódzkiego MO w Katowicach ds. bezpieczeństwa, choć stanowisko ocalił komendant wojewódzki MO płk Franciszek Szlachcic. Pewnie tylko on miał możnych protektorów.

Pachniało spiskiem

Listopad 1961 r. upłynął w Zagórzu na gorączkowych przygotowaniach do rozruchu kopalni Porąbka. Termin oficjalnego rozpoczęcia wydobycia wyznaczono na 3 grudnia – w przeddzień Barbórki. Uroczystość miał uświetnić Władysław Gomułka. O przyjeździe I sekretarza KC PZPR do Zagórza informowała lokalna prasa, a mieszkańcy osiedla już od początku jesieni mogli obserwować przygotowania: naprawę oświetlenia ulicznego, malowanie płotów i posesji, remont reprezentacyjnej ulicy Krakowskiej.

Plan wizyty przewidywał, że Gomułka pojawi się w kopalni o godz. 10, zwiędzi ją, a po południu udekoruje odznaczeniami zasłużonych budowniczych i górników. Zakończenie uroczystości zaplanowano na godz. 14. Milicja i SB zdawały sobie sprawę, że sprawca poprzedniego zamachu może znowu zaatakować, toteż funkcjonariusze drobiazgowo zabezpieczali teren. Na darmo.

Wybuch nastąpił 3 grudnia kilka minut po południu, gdy od strony kopalni wyjechała kolumna samochodów, wśród których uwagę zwracały trzy limuzyny i wóz transmisyjny Polskiego Radia. Ekspłodowała mina umieszczona we wkopanym w ziemię przydrożnym słupku. Odłamki uszkodziły jedną z limuzyn oraz poraniły przechodzącego ulicą górnika i 13-letnią dziewczynkę, która wyglądała z okna domu. W samochodowej kolumnie nie było jednak Gomułki, który w tym czasie nadal przebywał w kopalni i dekorował jej budowniczych.

O eksplozji powiadomiono zaraz Szlachcica, który niezwłocznie wyruszył do Zagórza. Przede wszystkim polecił zapewnić I sekretarzowi KC PZPR bezpieczny powrót. Następnie wydał rozkaz powołania grupy operacyjnej (sprawę prowadzono pod kryptonimem „Antena”). Znowu wprowadzono ścisłą blokadę informacyjną.

Tym razem działania SB i milicji musiały doprowadzić do zatrzymania zamachowca. Kolejny blamaż byłby nie tylko dowodem na nieudolność Szlachcica; mógł też zostać odczytywany jako niechęć do wykrycia sprawcy dwukrotnego już zamachu. To zaś, przy panującej w przywódczych kręgach PZPR po-

dejrzliwości, wiązało się z domysłami o możliwości zawiązania spisku z udziałem ludzi z MSW.

Do prowadzenia śledztwa skierowano ponad 100 funkcjonariuszy pionów operacyjnych SB i kilkudziesięciu milicjantów służby śledczej. Dopływ informacji zapewniało też ok. 220 konfidentów. Grupa operacyjna rozpoczęła pracę od wstępnego przesłuchania świadków eksplozji oraz zabezpieczenia miejsca wybuchu i pozostałości miny. Udało się odnaleźć kilkadziesiąt odłamków, fragmenty ceramiki, przewody prowadzące od miny do napowietrznej linii energetycznej, elementy zapalnika oraz fragmenty betonu wydobyte z leja. Powołano kilka zespołów biegłych mających wyjaśnić zasady konstrukcji bomby.

Po dziesięciu dniach grupa operacyjna wytypowała 436 osób mających niezbędną do skonstruowania miny wiedzę i poddała je inwigilacji.

Tymczasem specjaliści badający konstrukcję miny doszli do pierwszych istotnych ustaleń. Zbadali kabel stanowiący część instalacji zapłonowej, kończący się charakterystycznym haczykiem domowej produkcji, wyciętym z blachy za pomocą zwykłych nożyc i zaciśniętym kombinerkami lub szczypcami, i założyli, że te narzędzia będzie można jednoznacznie zidentyfikować po ich odnalezieniu. Ekspertzy zwrócili też uwagę, że beton użyty do konstrukcji słupka, w którym umieszczono minę, ma nietypowe proporcje i najprawdopodobniej sporządzono go metodami chałupniczymi – jakieś ślady, choćby w postaci gruzu czy zabrudzonej miednicy, mogły zdemaskować sprawcę.

Pomógł tajny współpracownik

Sztab grupy operacyjnej zdecydował wówczas o przeprowadzeniu w Zagórzu masowych rewizji domowych u 70 najbardziej podejrzanych osób. 260 funkcjonariuszy miało wkroczyć do wytypowanych mieszkań i poszukiwać zapraw cementowych, przekładników elektrycznych, przewodów i innych elementów, które mogły posłużyć do budowy miny. Mieli też dyskretnie pobrać odciski nożyc, kleszczy czy kombinerki w miękkim metalu. Podpułkownik Janoszek w ostatniej chwili zdecydował o włączeniu do grupy rewidowanych Stanisława Jarosa, miejscowego elektryka amatora.

Akcja rozpoczęła się 20 grudnia o 7 rano. Kilka osób natychmiast aresztowano, ponieważ w ich domach znaleziono „podejrzane przedmioty”, ale dosyć szybko je zwolniono, obejmując ścisłą inwigilacją (łącznie z kontrolą korespon-

dencji i podsłuchem). Pobrano też ok. 200 odcisków narzędzi, które przekazano do badań laboratoryjnych. Niebawem dysponowano wstępnymi wynikami i zawężono krąg podejrzanych.

Działania operacyjne także wskazały pewien trop. W podsłuchanej rozmowie żona zatrzymanego w areszcie Waclawa Sandeckiego wyznała matce, że zna tożsamość zamachowca. Niebawem konfident umieszczony w celi Sandeckiego przekazał informację, że ten podejrzewał o skonstruowanie bomby Jarosa, który choć nie miał odpowiedniego formalnego wykształcenia, miał zasób wiedzy pozwalający na skonstruowanie i zdalne odpalenie miny. Sandeckie został przesłuchany, a jego domysły odnotowano w protokole.

Te zeznania oraz badanie odcisków narzędzi poważnie obciążały Jarosa. Został aresztowany wieczorem 28 grudnia 1961 r. Z jego domu zabrano narzędzia elektrotechniczne oraz resztki zaprawy cementowej i przekazano je do badań mekano-skopijnych.

Jaros trafił do aresztu w Będzinie, ale konsekwentnie zaprzeczał, by miał cokolwiek wspólnego z zamachem. W sztabie grupy operacyjnej zapadła decyzja o umieszczeniu go w Centralnym Więzieniu w Katowicach. Tam wobec podejrzanego zastosowano „konwejer” – wielodniowe, męczące przesłuchania. W jego celi został też umieszczony tajny współpracownik SB, który miał go przekonać do złożenia zeznań.

7 stycznia 1962 r. Jaros wygadał się rzekomoemu współwięźniowi, że zdetonował bombę. Ten przekonał go wówczas, by się do wszystkiego przyznał, bo tylko tak może sobie pomóc, a następnie poinformował o wszystkim funkcjonariuszy. Podczas kolejnego przesłuchania Jaros szczegółowo opisał śledczym okoliczności zamachów.

9 maja 1962 r. przed Sądem Wojewódzkim w Katowicach rozpoczął się proces zamachowca i dwójki jego kolegów, którzy pomogli w przygotowaniu serii sabotaży w zakładach przemysłowych w latach 1952–1953. Jaros wyjaśnił, że detonował bombę w 1959 i 1961 r., nie zamierzał nikogo pozbawić życia, chodziło mu tylko „o pewną demonstrację, [...] o rozgłos za granicą, aby wykazać, że istnieje w Polsce podziemie, siła dążąca do zmiany ustroju”.

Wyrok zapadł 25 maja. Jaros otrzymał karę śmierci, jego towarzyszy skazano na kilkuletnie więzienie. Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski. W styczniu 1963 r. zamachowiec został powieszony. ©

dr hab. Adam Dziuba jest pracownikiem naukowym OBBH IPN w Katowicach

Porwanie Julii Malewskiej, 18 lipca 1946 r.

Siostra Bieruta w gościnie u „bandytów”

Największą szykaną, jakiej żołnierze podziemia niepodległościowego poddali przetrzymwaną rodzinę przywódcy komunistów, było... zmuszanie do śpiewania pieśni religijnych.

GRZEGORZ MAJCHRZAK

W połowie lipca 1946 r. żołnierze powojennego podziemia, nazywani przez komunistyczną władzę bandytami, przez kilka dni przetrzymywali rodzinę prezydenta Krajowej Rady Narodowej Bolesława Bieruta. Ich zatrzymanie nie było działaniem celowym, lecz efektem splotu wydarzeń.

Siostra Bieruta, Julia Malewska (razem z mężem Bolesławem i synową), udała się 17 lipca 1946 r. do Chełma, aby pomóc synowi Waławowi w przeprowadzce do Gdańska. Wczesnym popołudniem następnego dnia wracali do Lublina.

W tym samym czasie połączone oddziały Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość pod dowództwem Leona Taraszkiewicza („Jastrzębia”) oraz Narodowych Sił Zbrojnych, którymi dowodził Stefan Brzuszek („Boruta”), zorganizowały w okolicy wsi Brzeziny (gmina Siedliszcze) zasadzkę na funkcjonariuszy bezpieczeństwa z Chełma. Okazało się jednak, że ci pojechali inną drogą. W tej sytuacji dowodzący akcją „Jastrzęb” nakazał zatrzymywanie samochodów potrzebnych do szybkiego wycofania się około 45 żołnierzy – robiono to, udając wojskową grupę kontrolną.

Jednym z zatrzymanych aut jechała własnie rodzina Bieruta. Tak ten moment opisał w swych dziennikach Edward Taraszkiewicz „Żelazny”: „W pewnej chwili »Krzewina« [Stanisław Pakuła – red.] zatrzymał i skierował na bok ładny samochód półciężarowy firmy Bakford. Gdy »Jastrzęb« udał się do niego celem sprawdzenia, kto i co w nim wiezie, zobaczył kilka osób, które na widok oficera, w mniemaniu, że to UB, przedstawiają się jako rodzina prezydenta Bieruta”.

Dla zatrzymanych informacją, w czyich znalazli się rękach, była nie lada szokiem. Jak wspominał po latach uczestniczący w akcji Władysław Kobylański „Jerzyk”, „na te słowa ryżo-blondyna na pół zemdląca, opadła spokojnie na siedzenie. Wszyscy pobledli i spojrzeli po sobie”. Obawiali się najgorszego. Według innego uczestnika akcji Malewska miała go nawet zapytać łamiącym się głosem: „Proszę pana! Czy oni nas zastrzelą?”.

Zatrzymanych błyskawicznie zabrano z miejsca zasadzki i umieszczono w jednym z gospodarstw. Początkowo stosunek żołnierzy podziemia do „rodzinki” (jak pisał o nich „Żelazny”) nie był przychylny. Jak sami relacjonowali, pierwszego dnia obchodzono się z nimi „dość ostro”, jednak już dzień później zaczęto traktować ich „bardzo grzecznie”. Nie sposób w tym miejscu nie



Bolesław Bierut z siostrą Julią, w młodości



Leon Taraszkiewicz. To w ręce jego oddziału wpadła rodzina przywódcy komunistów

wspomnieć, że najbardziej dotkliwą szykaną, jaka ich spotkała, była konieczność śpiewania pieśni religijnych... Rano, przed śniadaniem były to „Kiedy ranne wstają zorze”, natomiast wieczorem, przed kolacją „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. Notabene jako „goście” posiłki otrzymywali pierwsi, przed gospodarzami i partyzantami. Ponadto „kobiety mogły poruszać się swobodnie po całym obejściu, a nawet udawać na brzeg lasu”. Oczywiście pod nadzorem.

Siostra Bieruta i pozostałe osoby już po trzech dniach odzyskały wolność. Taka była decyzja komendanta Obwodu Włodawa WiN Zygmunta Szumowskiego „Komara”. Przekonał on „Jastrzębia” do rezygnacji z pomysłu zażądania wymiany: zwolnienia prezydenckiej rodziny w zamian za wypuszczenie żołnierzy podziemia więzionych na zamku lubelskim. Ważnym czynnikiem były w tym przypadku obawy przed odwetową brutalną pacyfikacją terenu. Zatrzymani przed uwolnieniem dostali do podpisania oświadczenie, w którym prawdopodobnie zobowiązali się do pomocy w zwolnieniu „aresztowanych rodzin ściganych politycznie” – w tym przypadku zapewne żony „Boruty”, a także narzeczonych dwóch innych żołnierzy. Niestety, oświadczenia tego nie udało się odnaleźć – jego treść jest znana jedynie ze składowych po latach relacji. Nie wiemy też, czy i jak uwolnieni próbowali się wywiązać z przyjętego zobowiązania. Podobnie jak nie wiemy, czy do adresata – Bolesława Bieruta – trafił list przekazany jego siostrze. Pisano w nim m.in.: „Gdybyśmy chcieli zastosować wobec rodziny Pana metody, jakie stosuje Urząd Bezpieczeństwa [Publicznego] wobec rodzin aresztowanych politycznie Polaków – winniśmy rodzinę Pańską zmasakrować, powybić zęby, wyłamać ręce. Nie zrobimy tego, nam są obce bestialstwo i rozpasanie, nie zatraciliśmy etyki chrześcijańskiej, walczymy tylko z tymi, którzy mają umazane ręce w niewinnej krwi bratniej”.

Według relacji krewnego Malewskich Julia Malewska oświadczyła, że „zadnych zeznań składać nie będzie, opowie wszystko Prezydentowi”. Przebiegu tej rozmowy nie znamy. Nie miała ona jednak – jak się zdaje – wpływu na postępowanie Bieruta wobec „bandytów”. Podobnie jak na ich ewidentnie stronniczą ocenę ze strony jego syna Jana Chylińskiego, który pisał o nich w biografii ojca jako o „ludziach przesiąkniętych ślepą nienawiścią, a czasem nawet po prostu psychopatami”... ©

Dr Grzegorz Majchrzak jest pracownikiem naukowym BBH IPN w Warszawie

Akcja przeciwko pomnikowi Dzierżyńskiego w Warszawie, 6 listopada 1971 r.

Z toporkiem na Krwawego Feliksa

Pomysł był brawurowy: przerobić napis na monumencie w centrum stolicy, tak by Dzierżyński z „dumy” ruchu rewolucyjnego stał się jego „katem”. I zrobić to pod nosem milicjantów.

GRZEGORZ MAJCHRZAK

Pomnik Feliksa Dzierżyńskiego – współtwórca i szefa sowieckiej bezpieki, zwanego Krwawym Feliksem – odsłonięto na placu Bankowym w Warszawie 21 lipca 1951 r. Przed 1989 r. kilkakrotnie przeprowadzano przeciwko owemu monumentowi najróżniejsze akcje. Najgłośniejszą z nich zorganizowano 10 lutego 1982 r., kiedy to po oblaniu farbą został podpalony. Dokonali tego trzej uczniowie warszawskich szkół średnich i członkowie podziemnej Konfederacji Młodzieży Polskiej Pilsudczycy – Emil Barchański „Janek”, Stefan Antosiewicz „Józef” i Artur Nieszczerzewicz „Pрут”. Cztery miesiące później ten pierwszy został jedną z ofiar tzw. nieznaną sprawców – chłopak cierpiący na hydrofobię się utopił...

Zdążył skuć tylko „a”

Pierwszą akcją przeciwko pomnikowi przeprowadzili studenci Politechniki Warszawskiej w 1957 r., w reakcji na zlikwidowanie tygodnika „Po prostu”. Wówczas to pomalowali oni figurze ręce na czerwono. Niestety, nie wiemy, ile podobnych przedsięwzięć podjęto lub też próbowano podjąć w kolejnych latach. Po latach warto przypomnieć jedną z akcji, przeprowadzoną 6 listopada 1971 r., w rocznicę rewolucji październikowej. Sprawca, 17-letni uczeń Szkoły Zawodowej im. Michała Konarskiego i zastępca przewodniczącego koła klasowego Związku Młodzieży Socjalistycznej Andrzej Fedorowicz, został zatrzymany na gorącym uczynku. Warto w tym miejscu nadmienić, że choć złapali go milicjanci, to wpadł w wyniku – jak to nazywano w PRL – obywatelskiej postawy dwóch przechodniów, którzy ruszyli za nim w pościg i wzywali na pomoc Milicję Obywatelską.



Musiał zmienić się ustrój, by zdemontowano pomnik Dzierżyńskiego. Ku uciesze warszawiaków nastąpiło to 16 i 17 listopada 1989 r.

Co Fedorowicza skłoniło do tego czynu? Chłopak interesował się historią Polski i uznał, że o ile działacze ruchu robotniczego mają okazałe pomniki, to inni zasłużeni Polacy (np. Bolesław Prus) już nie. W tej sytuacji mniej więcej rok przed swoim czynem miał powziąć, jak potem zeznawał, „bez czyjejkolwiek namowy”, decyzję o jego dokonaniu. Początkowo założył tylko, że celem ataku będzie „pomnik, którego wystawienie wyraźnie było sprzeczne z poglądami społeczeństwa” – w gronie tym znalazł się m.in. Pomnik Braterstwa Broni (tzw. czterech śpiących) jeszcze do niedawna stojący na placu Wileńskim i broniony przez władze Warszawy... O tym, że Fedorowicz ostatecznie wybrał monument ku czci Dzierżyńskiego, zdecydowała przedwojenna literatura na temat Krwawego Feliksa, do której dotarł dzięki znajomemu.

Ponieważ niedaleko pomnika znajdowała się Komenda Stołeczna MO, na dzień akcji wybrał rocznicę Rewolucji Październikowej, uznając, że w tym dniu funkcjonariusze zajmą się „jakąś inną odpowiednią

pracą”. W inskrypcji „Feliks Dzierżyński to duma polskiego ruchu rewolucyjnego” zamierzał zastąpić słowo „duma” wyrazem „kat”. Z domu zabrał toporek, farbę i pędzel. Około godz. 20 dotarł na plac noszący już wówczas imię Dzierżyńskiego. Po półtorej–dwóch godzinach („bez przerwy kręcili się tam ludzie”), gdy na pobliskich przystankach komunikacji miejskiej zostało tylko kilkanaście osób, przystąpił do dzieła. Udało mu się skuć toporkiem literę „a”, ale ponieważ zauważył, że jeden z mężczyzn na przystanku zainteresował się tym, co robi, postanowił się oddalić. Na swoje nieszczęście uznał, że był to „zwykły pasażer” i – po odjeździe autobusu – kontynuował swe działania. Jednak z przystanku – tym razem tramwajowego – skierował się w jego stronę inny mężczyzna, wobec czego zaczął uciekać. Szybko został zatrzymany przez „jakichś cywili”.

Jeszcze tego samego dnia wyszedł na wolność (jako nieletniego odebrał go ojciec). Jak twierdzi po latach jego były nauczyciel i wychowawca Józef Janik, stało się tak m.in. dzięki

wystawionemu przez niego poręczeniu, dostarczonemu na komendę przez wicedyrektora szkoły.

„Skrucha i dobra opinia”

Na tym oczywiście się nie skończyło. 8 listopada 1971 r. Komenda Stołeczna MO wszczęła dochodzenie w sprawie „publicznego znieważenia” pomnika. Jeszcze tego samego dnia Fedorowicz został zatrzymany i przesłuchany. Zrelacjonował przebieg wydarzeń i stwierdził, że o jego zamiarach nikt nie wiedział. 30 grudnia 1971 r. postanowiono warunkowo umorzyć postępowanie karne, ustalając roczny okres próby. Co ciekawe, decyzję tę podjęła wiceprokurator Prokuratury Wojewódzkiej dla m.st. Warszawy Wiesława Bardonowa, oskarżająca w procesach politycznych od lat 60., zasłużona w latach 70. i 80. dla władzy w walce z opozycją. Decyzję uzasadniał – jak pisała – „młody wiek podejrzanego, brak doświadczenia, wyraźna skrucha, dobra opinia [...] i dotychczasowa niekaralność”.

Szczęśliwie dla Fedorowicza przeprowadzona w ramach śledztwa ekspertyza posiadanej przez niego maszyny do pisania nie wykazała, aby była ona wykorzystywana do „wrogich celów”. Nie stwierdzono, aby w Kartotece Dokumentów Anonimowych znajdowały się wykonane przez jej wykorzystanie dokumenty.

Po latach okazało się, że łagodność prokurator Bardonowej była błędem – przynajmniej z punktu widzenia reżimu. Fedorowicz po wprowadzeniu stanu wojennego należał do grona ważniejszych działaczy warszawskiego podziemia – m.in. w latach 1984–1990 był współzałożycielem, szefem technicznym i wydawcą pisma „Przegląd Wiadomości Agencyjnych”, a w latach 1986–1989 współzałożycielem i szefem Programu II Radia Solidarność w Warszawie. ©

Aatak na konsulat ZSRR, starcia z siłami bezpieczeństwa, 10 grudnia 1956 r.

Szczecińska nocna rewolta

Mieszkańcy protestowali przeciwko agresji Sowietów na Węgry oraz ich obecności w Polsce.





5

1-4 Zniszczony przez demonstrantów konsulát ZSRR (dziś siedziba oddziału IPN). Na transparentach protestujący nieśli hasła: „Precz Sowietci od Węgier, Precz od Polski”, „Precz z Rosjanami”.

5 I komisariat MO w Szczecinie. Kilkutysięczny tłum przez wiele godzin toczył regularną bitwę z oddziałami milicji, Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Urzędu Bezpieczeństwa.

6 Proces uczestników rewolty, styczeń 1957 r. Protest, choć szybko zdławiony, był sygnałem dla władz, że tutejsza ludność nie zawaha się stanąć do konfrontacji. Kolejny otwarty bunt wybuchł 14 lat później.

6



4

Zamach w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu, 6 października 1971 r.

Kowalczykowie podkładają bombę

W uczelnianej auli miała się odbyć akademie ku czci zasłużonych esbeków i milicjantów. Dla coraz bardziej wrogich wobec komunizmu braci to było już za wiele.

GRZEGORZ WALIGÓRA

Eksplozja wstrząsnęła gmachem opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w środku nocy, 6 października 1971 r. Zniszczyła wnętrze uczelnianej auli, jej posadzkę i część stropu.

Wybuch postawił na nogi Służbę Bezpieczeństwa. Zakrojone na wielką skalę śledztwo doprowadziło do autorów zamachu: Jerzego i Ryszarda Kowalczyków. W nietypowy dla ówczesnej opozycji sposób bracia chcieli zaprotestować przeciwko nagradzaniu funkcjonariuszy milicji i esbeków, m.in. tych, którzy niecały rok wcześniej pacyfikowali robotników Wybrzeża.

Symbol cynizmu i zniewolenia

Bracia przyjechali do Opolą z niewielkiej miejscowości Rząśniki położonej w pobliżu Wyszki. Pochodzili z patriotycznej rodziny. Po wojnie w ich domu ukrywali się partyzanci podziemia antykomunistycznego, a stryj Stanisław Kowalczyk walczył w Oddziale Narodowego Zjednoczenia Wojskowego i w 1952 r. został skazany na karę śmierci.

Ryszard (ur. 1937) jako uczeń szkoły średniej rozlepiał ulotki antykomunistyczne, był też przesłuchiwany przez bezpiekę w Pułtusku pod zarzutem słuchania Radia Wolna Europa. Z powodów politycznych nie mógł podjąć studiów w Warszawie. Możliwość taka pojawiła się na opolskiej WSP. Ukończywszy fizykę, w 1963 r. podjął na tej uczelni pracę, a w 1971 obronił na niej doktorat. Młodszy, Jerzy (ur. 1942) do Opolą przybył po odbyciu służby wojskowej w 1961 r., był zatrudniony jako pracownik techniczny w katedrze fizyki WSP.

Wyniesiona przez braci z rodzinnego domu wrogość do ustroju



Jerzy i Ryszard Kowalczykowie. Ten pierwszy skonstruował i rozmieścił ładunki, drugi obliczył, ile materiału wybuchowego potrzeba

komunistycznego pogłębiła się jeszcze bardziej w 1968 r. Wydarzenia marcowe i represje na WSP, a następnie interwencja wojskowa państw Układu Warszawskiego w Czechosłowacji wywoływały u nich odruch buntu.

Kolejnym wstrząsem była masakra protestujących robotników na Wybrzeżu w grudniu 1970 r. Wro-

gość braci wobec komunistycznego państwa tylko wzmacniała sytuację w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Uczelnia kształciła kadry Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej oraz funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa. Ogromna aula WSP była dla braci Kowalczyków symbolem zniewolenia i cynizmu. To w niej odbywały

się wojewódzkie zebrania PZPR, to tu wręczano partyjne odznaczenia. Podejmując decyzję o podłożeniu ładunków wybuchowych właśnie w tym miejscu, Kowalczykowie chcieli zaprotestować przeciwko organizacji uroczystej akademii z okazji święta MO i SB. Podczas ceremonii wręczane miały być medale dla zasłużonych funkcjonariuszy. W

uroczystościach uczestniczyć miał także przeniesiony do Opola, skompromitowany tłumieniem wystąpień robotniczych w Grudniu 1970 r. były komendant SB w Szczecinie płk Julian Urantówka.

Do przygotowania ładunku Kowalczykowie wykorzystali trotyl ze starych bomb i pocisków pozostawionych w ich rodzinnych stronach, w okolicach Pułtuska, przez wojska niemieckie i radzieckie. Jerzy skonstruował i rozmieścił ładunki, Ryszard dokonał odpowiednich obliczeń dotyczących ilości potrzebnego materiału wybuchowego.

Ostateczną decyzję o odpaleniu ładunków podjął sam Jerzy. Nikt nie ucierpiał (wybuch nastąpił o godz. 0.40; o tej porze na terenie uczelni były tylko dwie osoby), zniszczeniu uległa jedynie pusta aula.

„Kasia” donosi

Wybuch wywołał natychmiastową reakcję MO i SB. Już 6 października powołano grupę operacyjno-śledczą, na czele której stanął płk Ludwik Skowronek. Dwa dni później bezpieka wszczęła sprawę operacyjnego rozpracowania pod kryptonimem „Mrowisko” w celu dogłębnego wyjaśnienia przyczyn i okoliczności wybuchu. W pierwszych dniach przesłuchano ponad 50 osób, przede wszystkim świadków eksplozji i pracowników WSP.

W mieście bardzo szybko pojawiły się plotki, w których winę przypisywano miejscowej ludności lub sugerowano, że jest to odwet elementów proniemieckich z powodu wstrzymania wyjazdów do RFN. Rządziej pojawiała się wersja o podziemiu działającym na Opolszczyźnie, rekrutującym się z organizacji faszystowskich. W związku z szerzącymi się pogłoskami, w dużych zakładach oraz instytucjach miasta i powiatu zorganizowano zebrania partyjne z udziałem esbeków, milicjantów i prokuratorów, którzy informowali o wynikach śledztwa, okolicznościach wybuchu oraz działaniach organów śledczych.

Sprawą osobiście zajął się również minister spraw wewnętrznych Franciszek Szlachcic. 12 października 1971 r. w Katowicach wysłuchał sprawozdania delegacji opolskiej na czele z płk. Urantówką, po czym oddelegował do Opola dwóch wysokich rangą funkcjonariuszy z Katowic oraz obiecał wsparcie z centrali MSW. Równocześnie zintensyfikowano działania operacyjne, do akcji włączono 18 tajnych współpracowników i pięć tzw. kontaktów operacyjnych. Tylko do

23 października odbyto z nimi łącznie 227 spotkań.

Analizy ekspertów i biegłych z zakładu Komendy Głównej SB, Wydziału Kryminalistyki Komendy Wojewódzkiej MO oraz pirotechników z Zakładów Chemicznych w Krupskim Młynie (na Śląsku) stopniowo ograniczyły grono podejrzanych do osób znających się na materiałach wybuchowych, mających dostęp do trotylu, znających rozkład pomieszczeń WSP i wrogich wobec władzy ludowej. Mimo to śledztwo nie przynosiło spodziewanych rezultatów. Na początku 1972 r. w MSW podjęto decyzję o powołaniu przy Komendzie Wojewódzkiej MO w Opolu dodatkowej 11-osobowej grupy operacyjno-śledczej złożonej z oficerów MSW.

Przełom w śledztwie nastąpił 11 stycznia 1972 r. (ponad trzy miesiące od eksplozji), gdy do kręgu podejrzanych włączono braci Kowalczyków. Obaj – jak już wiemy – byli pracownikami WSP, obaj też od najmłodszych lat interesowali się materiałami wybuchowymi. Dodatkowo podczas pierwszej fazy przesłuchań Jerzy nie przedstawił przekonującego alibi, a odnaleziony podczas odgruzowywania kawałek drutu wskazywał, że ładunek został odpalony w okolicy garaży lub pomieszczeń warsztatowych Katedry Fizyki, w której był zatrudniony.

Wobec braci SB podjęła działania operacyjne. W ich wspólnym mieszkaniu oraz w miejscu pracy zainstalowano podsłuchy, wytypowano też tajnych współpracowników, którzy mieli dostarczać wiadomości weryfikujące podejrzania. Kluczowym agentem okazała się Katarzyna Łacheta ps. „Kasia”. Wykorzystując słabość Jerzego do ładnych kobiet, SB za pomocą kombinacji operacyjnej doprowadziła do poznania go z „Kasią”. Pomimo początkowych podejrzeń dość szybko pozyskała ona sympatię i zaufanie Jerzego. Już dziesięć dni po wprowadzeniu do działań operacyjnych „Kasia” informowała, że Jerzy Kowalczyk jest zdecydowanym wrogiem ustroju komunistycznego, a „z powodów politycznych życie jego wisi na włosku”. Kilka dni później przekazała kolejną cenną informację, że trotyl podłożono w kanale na rurach centralnego ogrzewania, a do jego odpalenia wystarczył odpowiednio długi cienki drucik.

SB nabrała więc pewności, że to Jerzy jest odpo-

wiedzialny za wybuch. Mimo to w notatce sporządzonej 24 lutego 1972 r. stwierdzono, że „aktualne rozpracowanie Kowalczyka nie upoważnia do podjęcia ewentualnej decyzji o jego zatrzymaniu. Przemawia za takim wnioskiem brak konkretnych danych na temat możliwości uzyskania dowodów rzeczowych”. Jednak już pięć dni później braci aresztowano. Decyzję przyspieszyły informacje uzyskane z podsłuchu ich rozmowy, w której rozważali wywołanie kolejnych eksplozji.

Ostatecznie Kowalczyków oskarżono o wysadzenie auli i próbę zamachu na życie funkcjonariuszy. 8 września 1972 r. Sąd Wojewódzki w Opolu oraz 18 grudnia 1972 r. Sąd Najwyższy skazały Jerzego na karę śmierci, a Ryszarda na 25 lat pozbawienia wolności.

Wyroki zatarte, kasacji nie ma

Tak surowa kara spotkała się z licznymi protestami, wyrażanymi w listach i petycjach, a inspirowanymi przez przedstawicieli kształtujących się środowisk opozycyjnych (pomimo różnic w ocenie formy protestu zgadzano się, że kara jest niewspółmierna do winy), próbowano też nagłaśniać sprawę za granicą. Przyniosło to pewne efekty. W styczniu 1973 r. Jerzemu złagodzono karę do 25 lat pozbawienia wolności.

W 1976 r. do Rady Państwa wpłynęła kolejna zbiorowa petycja środowisk opozycyjnych z apelem o zastosowanie prawa łaski wobec braci. O ulaskawienie dwukrotnie apelowali też działacze Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela (w grudniu 1978 i styczniu 1980

r.) oraz uczestnicy głódówki zorganizowanej przez KSS KOR w Podkowie Leśnej (w maju 1980 r.). W latach 1980–1981 hasło uwolnienia Kowalczyków stało się jednym z głównych postulatów powstających w całym kraju Komitetów Obrony Więzionych za Przekonania. Organizowano głódówki i marsze, pisa-no listy. W maju 1981 r. z prośbą o złagodzenie wyroków wystąpili do Rady Państwa znani intelektualiści i artyści.

W październiku 1981 r. o złagodzenie kary poprosił Radę Państwa sam Ryszard Kowalczyk. Ostatecznie dopiero 28 lipca 1983 r. Rada postanowiła zawiesić jego karę na pięć lat i warunkowo zwolnić go z więzienia. Niespełna dwa lata później, po kolejnych protestach i apelach środowisk opozycyjnych, na wolność wyszedł Jerzy. Jemu też wyznaczono pięcioletni okres próby.

Po upadku komunizmu w Polsce prezydent Lech Wałęsa w 1993 r. podjął decyzję o zatartu wyroków skazujących obu braci oraz przywrócił im prawa obywatelskie. Pomimo prób nie udało się jednak doprowadzić do kasacji wyroków. Z inicjatywy Anny Walentynowicz i Andrzeja Gwiazdy w grudniu 2010 r. uhonorowano Kowalczyków tablicą na ścianie pamięci przy pomniku Poległych Stoczniovców w Gdańsku, a w ceremonii odsłonięcia uczestniczyli obaj bracia. W październiku 2016 r. prezydent Andrzej Duda nadał im Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski. Rok później, w wieku 80 lat zmarł Ryszard Kowalczyk. ©

*Dr Grzegorz Waligóra
jest pracownikiem naukowym
OBBH IPN we Wrocławiu*



Skalę zniszczeń dobrze widać w materiałach ze śledztwa

Podkładanie ładunków wybuchowych w stanie wojennym, po 13 grudnia 1981 r.

Terroryści z podziemia. Odwet na reżimie

W czasie wojny polsko-jaruzelskiej część działaczy opozycyjnych sięgnęła po metody walki, które w społeczeństwie nie były powszechnie akceptowane.

SEBASTIAN LIGARSKI

Walka z komunizmem w Polsce za pomocą tak radykalnych metod, jak podkładanie ładunków wybuchowych, rozpoczęła się na długo przed stanem wojennym. Do najbardziej znanych takich akcji należały próba wysadzenia pomnika Lenina i podpalenia muzeum wódza rewolucji w Poroninie przez członków grupy „Ruch” w 1970 r., wysadzenia pomnika Lenina w Nowej Hucie w 1979 r. oraz opisane na poprzednich stronach próba zabicia Władysława Gomułki przez Stanisława Jarosa i wysadzenie auli Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu przez braci Kowalczyków.

Oto odpowiedź na brutalność władzy

Po tym, gdy w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. gen. Wojciech Jaruzelski wydał wojnę własnemu narodowi, powstało podziemie, które różnymi metodami dalej prowadziło walkę z władzami. Poza rozrzucaniem ulotek, drukowaniem niezależnej prasy, spacerami, na które udawano się w czasie emisji „Dziennika Telewizyjnego” (główniej tuby propagandowej reżimu), czy innymi formami czynnego oporu, dokonywano też aktów o charakterze terrorystycznym. Podpalano partyjne tablice informacyjne czy propagandowe, wrzucano petardy do kin czy teatrów lub rozpylano w nich smrodliwe substancje, ogłaszano listy „kolaborantów”.

Liczne były też przypadki umieszczania ładunków wybuchowych m.in. w budynkach partyjnych, komendach MO, milicyjnych kasynach i miejscach stacjonowania ZOMO (czyli oddziałów do tłumienia demonstracji). Kilkadziesiąt z tych ładunków eksplodowało.

Była to manifestacja ze strony działaczy podziemnych wobec władz, odpowiedź na mordy i brutalność wojska i milicji, jasny sygnał wysłany rządzącym, że ich atak spotka się z tożsamą odpowiedzią. Z drugiej strony był to akt bezsilności, bo w tej walce członkowie podziemia musieli sięgnąć po metody, które w społeczeństwie nie były powszechnie akceptowane.

Największą liczbę ładunków wybuchowych w stanie wojennym podłożono na terenie Zagłębia Miedziowego w 1982 r. Działalność tzw. lubińskich bombiarzy i pokrewnych grup z Polkowic i Głogowa spowodowała, że region ten stał się



Stołówka górnicza w Lubinie po zamachu z września 1982 r. W jej pobliżu kwaterowali milicjanci

areną zacieklej wojny pomiędzy podziemiem a strukturami aparatu bezpieczeństwa.

Zbrodnia lubińska, czyli przelewa się czarna goryczy

Zacząło się w nocy z 12 na 13 lutego 1982 r. od podłożenia bomby pod lubińską stację benzynową przez Jana Kołodzieję oraz Ryszarda Szwea. Jeszcze przez kilka miesięcy kolejnych takich akcji było niewiele. Wszystko zmieniło się pod zbrodni lubińskiej, czyli krwawej pacyfikacji pokojowej demonstracji 31 sierpnia 1982 r., w drugą rocznicę podpisania Porozumień Sierpniowych. Śmierć trzech osób oraz amok funkcjonariuszy MO, którzy urządzili sobie w mieście swoje safari, biorąc na cel bezbronnych ludzi, spowodowały odwet.

17 września 1982 r. eksplodował ładunek wybuchowy w pobliżu stołówki górniczej przy ul. Skłodowskiej-Curie w Lubinie. Niedaleko od

miejsca wybuchu zakwaterowane były kompania ZOMO z Opola oraz kompania Rezerwowych Oddziałów MO z Lubina (razem 160 osób). Zamach przeprowadzili Bogusław Grobelny oraz Władysław Maślanyk.

Kolejny ładunek wybuchowy został podłożony 2 października 1982 r. pod drzwi mieszkania Edwarda Dąbrowskiego. Za próbę jego zdetonowania odpowiadał Zbigniew Jurkowski. Już dziesięć dni później wybuchł kolejny ładunek. Tym razem celem było mieszkanie członka Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej Jana Skowrońskiego.

W październiku ładunki wybuchowe miały zostać zdetonowane nie tylko w Lubinie. 19 października 1982 r. jedna z mieszkańek Głogowa znalazła bombę leżącą na parapecie okna kasyna MO w Głogowie. Do wybuchu nie doszło ze względu na słabą baterię. W dwóch ostatnich dniach owego miesiąca ujawniono trzy ładunki, m.in. pod budynkiem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Legnicy oraz komisariatu MO w Polkowicach.

Pomniki, dworce, partyjne komitety...

Do podobnych zdarzeń dochodziło w całym kraju. 15 lutego 1982 r. w hotelu robotniczym Dolnośląskich Zakładów Wytwórczych Maszyn Elektrycznych „Dolmel” w wybuchu zginęła jedna osoba. W tym samym dniu podłożono ładunek pod dworzec PKP Częstochowa Główna. 19 lutego do mieszkania aktywisty ORMO w Chorzowie dostarczona paczka, która eksplodowała, zabijając właściciela. 22 marca Dariusz Tarnacki podłożył ładunek wybuchowy pod pomnikiem ku czci poległych funkcjonariuszy MO i SB we Wrocławiu. Ładunek nie wybuchł. 29 kwietnia wyleciał w powietrze pomnik przyjaźni polsko-radzieckiej w Wodzisławiu Śląskim, a 13 maja zdetonowano bombę pod pomnikiem żołnierzy radzieckich w Mysłowicach.

Na Górnym Śląsku, podobnie jak w Zagłębiu Miedziowym, odnotowano więcej tego typu manifestacji, co zrozumiałe ze względu na łatwy dostęp do materiałów wybuchowych w kopalniach. 17 lutego 1982 r. w windzie jednego z budynków Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie umieszczono ładunek wybuchowy, który nie eksplodował. Podobnie jak ten odkryty 6 maja na dachu Domu Górnika kopalni Wieczerek w Katowicach. 15 sierpnia eksplodował ładunek w Jordanowie (województwo nowosądeckie) podłożony pod budynek Komitetu Miejsko-Gminnego PZPR. 13 września wybuchł ładunek w Lokomotywowni PKP w Chełmie.

Również w następnych latach tego typu aktów było sporo. Wspomnijmy zamach na siedzibę Komitetu Miejskiego PZPR w Gdyni w 1987 r. czy wybuch z 1989 r. w Świnoujściu.

SB zyskuje pretekst

Ocena działań osób podkładających ładunki wybuchowe jest złożona. Z jednej strony wprowadzenie stanu wojennego było końcem marzeń o wolnym państwie. Brutalna pacyfikacja kopalń i innych zakładów często wywoływała chęć odwetu. Silne emocje spowodowane wydarzeniami z sierpnia 1982 r., szczególnie w Zagłębiu Miedziowym, nakazywały działać w chwili, gdy życie za wolność i niepodległość kraju oddawali koledzy czy członkowie rodzin.

Równocześnie jednak sposób, jaki wybrali zamachowcy, niósł ze sobą niebezpieczeństwo spowodowania skutków trudnych do oszacowania. I choć wszyscy zamieszani w podkładanie ładunków wybuchowych oświadczyli, że nikomu nie chcieli zrobić krzywdy, a tym bardziej nikogo zabić, to jednak wiele bomb eksplodowało, a eksplozji wielu innych zapobiegły wyłącznie wadliwie wyprodukowane części.

Trzeba też pamiętać, że często starannie dobrane terminy działań, choć zrozumiałe z przyczyn politycznych, dawały funkcjonariuszom MO, a szczególnie SB, doskonały pretekst do walki z podziemną Solidarnością i oskarżenia jej o terroryzm oraz próbę siłowego obalenia ustroju. Sporym ryzykiem było podkładanie bomb tuż pod nos dowództwa Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej w Legnicy i okolicach, co musiało być odbierane jako prowokacja. ©

dr Sebastian Ligarski jest pracownikiem naukowym OBBH IPN w Szczecinie

Nienawiść do systemu wypisana na murze

W latach 80. antyreżimowe hasła stały się nieodłącznym elementem krajobrazu polskich miast. Było już tak w karnawale Solidarności (z tego okresu pochodzą poniższe zdjęcia), a po wprowadzeniu stanu wojennego mały sabotaż tylko przybrał na sile.



1. Gdańsk, lipiec 1981 r. 2. Kraków, listopad 1981 r. 3. Kraków, grudzień 1981 r. 4. Gdańsk, marzec 1981 r.

Eksplozja przed Rejonowym Urzędem Spraw Wewnętrznych w Kołobrzegu, 13 października 1989 r.

Kto wysadził milicjantom trabanta i syrenkę

Autor tego zamachu pozostaje nieznanym. Śledczy brali pod uwagę zemstę przestępców, wybrak dzieciaków lub sowieckich żołnierzy. Ten, kogo wytypowali jako sprawcę, wybronił się przed sądem.

**LUKASZ SKUBISZ
PAWEŁ SKUBISZ**

W październikowy wieczór pogoda nie zachęcała do spacerów. W spokojnym o tej porze roku Kołobrzegu padał deszcz. Tuż przed godziną 20 na ulicy Kilińskiego doszło do głośnej eksplozji. W pierwszej chwili nie było wiadomo, co się stało. W naturalny sposób skojarzono to ze zmorą lat 70. i 80. XX wieku, jaką były wybuchające rury z gazem czy kucharki i piecyki gazowe. Podobnie pomyśleli funkcjonariusze Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych (RUSW) w Kołobrzegu, w siedzibie którego, w lewym skrzydle budynku, wypadły niemal wszystkie szyby w oknach.

Szybko okazało się jednak, że eksplozję wywołano celowo, a zniszczyła ona zaparkowane na parkingu dwa auta – trabanta i syrenkę – należące do miejscowych milicjantów (nie ucierpiał nikt postronny).

Był 13 października 1989 r. Następnego dnia o zdarzeniu poinformowały lokalne gazety oraz telewizyjny „Teleexpress”.

Dyżurny RUSW zawiadomił natychmiast szefa urzędu i spisał personalia osób znajdujących się w budynku – dwóch przesłuchiwanym oraz 12 funkcjonariuszy. Na jego polecenie kilku milicjantów wysłano w teren, lecz nie spotkali w pobliżu żadnych podejrzanych osób, które mogłyby mieć cokolwiek wspólnego z wybuchem.

Jednocześnie wezwano oficera z 32. Pułku Zmechanizowanego w Kołobrzegu. Ten ocenił, że bomba nie miała dużej siły rażenia i że użyto do jej sporządzenia maksymalnie 1 kg materiałów wybuchowych.

Nazajutrz po eksplozji, pod nadzorem prokuratora rejonowego Bogdana Lewandowskiego technicy

kryminalistyki sporządzili dodatkową dokumentację fotograficzną i filmową, zabezpieczyli też odnalezione pozostałości lontu. Przybyły na miejsce szef saperów 32. Pułku Zmechanizowanego w Kołobrzegu stwierdził zaś, że ładunek wybuchowy stanowiło nie więcej niż 200 g trotylu umieszczonego na chodniku bez jakiegokolwiek osłony (która zwiększyłaby siłę rażenia bomby). Jak się później okazało, w ocenie tej zasadniczo się nie pomylił.

Po co szklicie te okna

Szef Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych (WUSW) w Koszalinie powołał specjalną grupę dochodzeniowo-śledczą i niemal równocześnie wszczęto sprawę operacyjnego rozpracowania o kryptonimie „Etna”.

Aparat bezpieczeństwa nie dysponował jakimikolwiek informacjami na temat sprawców zdarzenia. Pod lupę wzięto zatrzymanych w ostatnim czasie przestępców, którzy mogliby z zemsty dokonać zamachu. Uwagi funkcjonariuszy nie umknął nawet komentarz miejscowego pijaka, który trafił do budynku RUSW w dzień po eksplozji. Mężczyzna w alkoholowej malinconii miał powiedzieć: „Po co szklicie te okna, i tak ta buda wyleci jeszcze raz w powietrze”. Żart skończył się przesłuchaniem na okoliczność zamachu.

Pod uwagę brano nawet popularne wówczas zabawy kilkunastoletnich chłopców z użyciem saletry czy rac sygnalizacyjnych z traw ratunkowych. Nawiązano też kontakt z lokalnym przedstawicielem KGB, sprawdzając, czy za wybuchem nie stali żołnierze armii sowieckiej z jednostek stacjonujących na Pomorzu Zachodnim.

Przełom w sprawie nastąpił 26 października 1989 r. na skutek działań operacyjnych prowadzonych przez Sekcję Kryminalną

RUSW w Kołobrzegu. Tajny współpracownik ps. Puszkin stwierdził, iż za zamachami stoi Sławomir Walczyk. Wieczorem 13 października 1989 r. miał on przyjść do informatora z półlitrowką wódki oraz kostką trotylu uzbrojoną w półmetry lont i namawiać go do wspólnego wysadzenia siedziby RUSW poprzez podłożenie ładunku pod milicyjną stację paliw, ulokowaną na zapleczu budynku przy ul. Kilińskiego 20. Kiedy „Puszkin” zaopo-

Walczyk pochwalił się, że zdetonował ładunek, „rozwalił” trabanta i wybił szyby w oknach urzędu. Ponadto „Puszkin” poinformował o użyciu dwa tygodnie wcześniej przez Walczyka, wspólnie z niejakim Zbigniewem Chałuszczykiem, podobnej kostki trotylu do głuszenia ryb w okolicznych torfowiskach. Te rewelacje SB próbowała potwierdzić, wykorzystując innych tajnych współpracowników, ale nie wiadomo, z jakim skutkiem.

Doprowadzili go do nerwicy

Esbecy ustalili za to, że Sławomir Walczyk urodził się w 1968 r. w Koszalinie. Po przerwaniu nauki w klasie murarskiej kołobrzesckiej zawodówki przyuczał się w miejscowych Zakładach Mięsnych do zawodu masarza-wędliniarza. W 1985 r. podjął w nich krótkotrwałą pracę, którą porzucił po niespełna pół roku, i zatrudnił się jako kierownik w Przedsiębiorstwie Transportowym Handlu Wewnętrznego. W wieku 20 lat był żonaty i miał dziecko. Popadał już w konflikt z prawem i był znany miejscowym funkcjonariuszom aparatu bezpieczeństwa. Za drobne kradzieże został skazany na rok więzienia w zawieszeniu na trzy lata. Gdy doszło do zamachu, służył w wojsku w jednostce nr 3644 w Kołobrzegu (czyli w 28. Sudeckim Pułku Zmechanizowanym) jako kierowca samochodu ciężarowego, później wsparcia medycznego, a także jako instruktor jazdy dla młodszych roczników żołnierzy. Od 12 do 15 października 1989 r. był w domu na przepustce.

Z rozmów prowadzonych z matką podejrzanego, Barbarą Bieniek, milicjanci wynieśli informacje dotyczące ewentualnych motywów zamachu: „zarówno syn jak i ona [matka – red.] mają do milicji uraz za doznane krzywdy. Po raz ostatni był on zatrzymywany w RUSW rok



TW „Puszczyk” przy dowodach rzeczowych. Jego donosy na Walczyka nie przekonały sądu

nował, Walczyk miał się zdecydować na samodzielne dokonanie zamachu.

„Puszkin” zdołał wyperswadować Walczykowi jedynie podłożenie ładunku pod stację paliw – wytłumaczył przyszłemu zamachowcowi, że mogą ucierpieć postronni osoby znajdujące się w areszcie na terenie budynku RUSW. Według donosiela następnego ranka



Jedno z dwóch aut uszkodzonych przez wybuch. Przy złej pogodzie na ulicy nie było spacerowiczów, więc obyło się bez ofiar w ludziach

czasu temu kiedy to posługując się samochodem stanowiącym jej własność dokonał kradzieży kół od barakowozu za co był skazany przez S[ąd] R[ejonowy] w Kołobrzegu”. Pani Barbara stwierdziła ponadto, że ciągle podejrzewa ze strony milicji doprowadziły jej syna do nerwicy oraz choroby serca.

Walczyk podczas przesłuchania co prawda przyznawał się do zagarnięcia z jednostki wojskowej i z poligonu w Okonku, Konotopie i Drawsku Pomorskim amunicji oraz jednej kostki trotylu, której eksplozją nieudolnie próbował potem, wraz ze znajomym, ogłuszyć ryby w dołach potorfowych, lecz zaprzeczał swojemu udziałowi w zamachu. 13 marca 1990 r. prok. Bogdan Lewandowski oskarżył go jednak o: sprowadzenie niebezpieczeństwa powszechnego dla życia i zdrowia ludzi oraz mienia w znacznych rozmiarach przez spowodowanie eksplozji przed budynkiem RUSW w Kołobrzegu; kradzież 19 sztuk amunicji i co najmniej dwóch kostek trotylu; przechowywanie tych materiałów bez pozwolenia.

Do dwóch ostatnich czynów Walczyk się przyznał, lecz nadal twierdził, iż to nie on odpowiadał za zamach. W kolejnym miesiącu

zamknęto sprawę o kryptonimie „Etna”.

Osiem miesięcy, ale nie za zamach

Proces Walczyka rozpoczął się 21 maja 1990 r. Co ciekawe, główny świadek oskarżenia, Andrzej Kamiński, wspomniany wyżej tajny współpracownik „Puszkín”, przed sądem lawirował i unikał odpowiedzi na pytania, wymawiając się słabą pamięcią i upływem czasu. Być może Walczyk go zastraszył, bo będąc w areszcie, groził Kamińskiemu poprzez ich wspólnego znajomego.

Dociskany przez prokuratora „Puszkín”, po odczytaniu na polecenie sądu fragmentów zeznań ze śledztwa, ostatecznie je potwierdził. 11 lipca 1990 r. sąd skazał Walczyka za przywłaszczenie i posiadanie bez zezwolenia amunicji oraz jednej kostki trotylu, za co wymierzył mu karę ośmiu miesięcy więzienia. Uniewinnił go jednak od zarzutu dokonania zamachu bombowego na RUSW. Poza sygnalizowaną wcześniej kwestią złych relacji pomiędzy Walczykiem a Kamińskim (głównym świadkiem oskarżenia), argumentem decydu-

jącym okazały się zeznania złożone przez Waldemara Szydłowskiego, który podczas rozprawy udzielił Walczykowi alibi, twierdząc, iż przyszedł on do niego do domu 13 października 1989 r. przed godziną 20 – gdy w telewizji nadawano wiadomości sportowe po „Dzienniku Telewizyjnym”. Choć nie była to precyzyjna informacja, a miejsce zamieszkania Szydłowskiego od budynku RUSW dzieliło zaledwie kilka minut szybkiego marszu, sąd uznał, że zeznanie bądź wyklucza sprawstwo Walczyka, bądź je podaje w poważną wątpliwość.

Prokurator Lewandowski wniósł rewizję do Sądu Najwyższego. Przekonywał, że sąd pierwszej instancji błędnie uznał zeznania Andrzeja Kamińskiego za niewiarygodne, wskazał też na niespójność w zeznaniach Waldemara Szydłowskiego, który w trakcie śledztwa kilkakrotnie je zmieniał (pierwotnie podał, że Walczyk przyszedł do niego około godziny 20.45).

W sierpniu Sąd Najwyższy utrzymał w mocy wyrok z pierwszej instancji.

Nie zmieniło to jednak sytuacji Walczyka, który cieszył się już wolnością po odbyciu kary ośmiu miesięcy więzienia.

Nie starczyło determinacji

Zamach w Kołobrzegu był jednym z ostatnich ataków na funkcjonariuszy komunistycznego aparatu bezpieczeństwa. Pomimo zaangażowania znacznych sił bezpieczeństwa, a także zeznań świadków, nie udało się w sądzie potwierdzić winy wytypowanego sprawcy. Nim wydano prawomocny, ostateczny wyrok, Służba Bezpieczeństwa i Milicja Obywatelska przestały zaś istnieć. Przełom w sferze polityki przyczynił się do osłabienia determinacji do tego, aby sprawę wyjaśnić. Dlatego dziś możemy jedynie spekulować co do okoliczności i motywów zamachu.

Sławomir Walczyk zmarł kilka lat temu. Nie sposób więc skonfrontować informacji znajdujących się w materiałach aparatu bezpieczeństwa z relacją najważniejszego ówczesnego świadka, a może i uczestnika zapomnianego wydarzenia z 13 października 1989 r. Jeśli to on dokonał zamachu, prawdopodobnie nigdy już nie poznamy motywów, jakimi się kierował. ☹

*Dr Paweł Skubisz jest dyrektorem oddziału IPN w Szczecinie
Eukasz Skubisz jest pracownikiem Archiwum IPN w Szczecinie*



Oddział Instytutu Pamięci Narodowej w Szczecinie
zaprasza na obchody rocznicowe pod nazwą

„Szczecińskie Grudnie 1956, 1970, 1981. Pamiętamy!”

13 grudnia 2107 r.

w Hotelu Vulcan w Szczecinie (ul. Druckiego-Lubeckiego 6A)

o godz. 18:00 odbędzie się:

- pokaz filmowy materiałów archiwalnych dotyczących Grudnia 1956, 1970, 1981 z zasobów Filmoteki Narodowej-Institutu Audiowizualnego, Instytutu Pamięci Narodowej;
- pokaz sprzętu wojskowego i milicyjnego z lat 70. i 80. XX w.;
- pokaz pierwszego, szczecińskiego audioprzewodnika poświęconego grudniowym protestom z lat 1956, 1970 i 1981.

Zapraszamy! Wstęp wolny!